Rok 1901. Lwów, 18. Sierpnia Nr. 32.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE“ po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego“ po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego“ we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5., oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 18. Sierpnia Nr. 32.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron,	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek	18·—	8·—	4·—	2·—
W innych krajach europ.	franków	20·—	10·—	5·—	2·—
W Ameryce północnej	dolarów	4·—	2·—	1·—	[illegible]
W Ameryce południow.	franków	25·—	13·—	7·—	3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze "przekazem pocztowym" adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO" LWÓW – CICHA 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

OGŁOSZENIA

po 12 halerzy od wiersza petitowego w jednym łamie przy umieszczeniu jednorazowem. Ogłoszenia kilkurazowe za stosownym rabatem.

DONIESIENIA w rubryce „NADESŁANE" po 30 hal. od wiersza.

DROBNE OGŁOSZENIA po 3 halerze od wyrazu.

ZAŁĄCZNIKI do „Tygodnika Narodowego" po 2 korony od 100 egzempl.

Ogłoszenia (płatne we Lwowie) przyjmują: Administracya „Tygodnika Narodowego" we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5, oraz Biura ogłoszeń w kraju i za granicą.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego", ul. Cicha 5.

Rok 1901. Lwów, 18. sierpnia Nr 32.

TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11, Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 32:

Poseł Horzica o sprawie śląskiej.

Członek redakcyi *Kuryera warszawskiego* p. Adam Dobrowolski, rozmawiał z bawiącym chwilowo w Warszawie posłem młodoczeskim p. Ignacym Horzicą o sprawie śląskiej i zatargu Polaków z Czechami na Śląsku. Rozmowę tę spisał p. Dobrowolski w Kuryerze, brzmi ona jak następuje:

— Znam od dawna pańską dzielność w pracy dla dobra narodu czeskiego, ale znam również jego sympatyę plemienną względem nas oraz trzeźwość i bestronność w ocenianiu stosunków czesko-polskich. Korzystam przeto z pańskiej w Warszawie gościny i, witając go w murach naszego grodu, pozwalam sobie zadać panu kilka pytań w palącej sprawie zatargu Czechów z Polakami, czy też Polaków z Czechami na Śląsku.

— Pytaj pan — odpowiada szanowny poseł, a z jego zacnej twarzy biją widoczne oznaki zadowolenia, że się będzie mógł wywnętrzyć, że ulży sobie, gdy wygłosi zarzuty i gdy życzenia swoje w tej mierze streści i sformułuje.

— Wiem, że pan uczestniczył w wiecu śląskim, jaki się niedawno odbył w Zakopanem, wiem, że pan dużo w tej materyi pisał w *Narodnich Listach* — może pan zechce wyłuszczyć mi pogląd swój na tę sprawę.

— Przez sześć lat byłem korespondentem *Narodnich Listów* z sejmu śląskiego. O rzeczach, Śląska dotyczących, napisałem kilkaset artykułów i wydałem cztery książki. To dowodzi, że się Śląskiem w wysokim stopniu od dawna interesowałem i że kraj ten, jego życie wewnętrzne wszechstronnie poznać mogłem.

Sejm śląski składa się z 30 posłów; oprócz tego głos wirylny ma biskup wrocławski. W tej liczbie znajduje się tylko 3 polaków i 3 Czechów. Pierwszy raz sześciu słowiańskich posłów zasiadło na ławach sejmowych w r. 1889; od tego dopiero czasu, złączonemi siłami, dzięki wytężonej pracy, Czesi dla sprawy narodowej mogli coś zacząć robić. Niemcy bowiem wszystko trzymają w rękach: językiem urzędowym na Śląsku jest język niemiecki, biurokracya jest niemiecka. Na Śląsku nie było wcale szkół czeskich i polskich, Niemcy zaś posiadali 4 szkoły realne, 4 gimnazya i 3 seminarya nauczycielskie. Całe życie publiczne spoczywało w rękach niemieckich, szkoła zaś ludowa, znajdowała się w strasznem niebezpieczeństwie. Jeszcze w r. 1873 rada szkolna krajowa (duszą jej jest dr. Haase, superintendent protestancki, największy germanizator Śląska), wydała rozporządzenie, sięgające po nad obowiązującą ustawę austryacką, która wskazuje, iż językiem wykładowym w szkole ludowej ma być język macierzysty uczniów, i oto we wszystkich szkołach ludowych na całym Śląsku językiem wykładowym jest język niemiecki. Tylko w szkołach gminnych, na początku pobytu w nich dzieci wolno dopomagać w wykładzie językiem miejscowym; w 2-ej klasie używany już jest język niemiecki. W obec tego patryotyczne gminy czeskie na Śląsku, chciały mieć tylko 1-szą klasę szkoły, aby uniknąć w 2-giej klasie wykładu niemieckiego.

Akcyę, walkę przeciw brutalnym germanizacyjnym zapędom Haasego, podjęli czesi. Polacy nie działali tu zgodnie, zresztą dużo na Śląsku jest protestantów polskich, a ci, zależni od superintendenta Haasego, nieraz ulegali jego poszeptom. Ale i ci zżymali się na sprawki Haasego na równi z polakami-katolikami.

Kiedy Czesi zaczęli organizować walkę z germanizmem, wszyscy polacy na Śląsku mówili: „Róbcie panowie, bo więcej umiecie zrobić — a co zrobicie dla siebie, zrobicie dla nas".

Że Czesi walczą zażarcie, mamy dowód w tym fakcie, że już w 1883 r. założyli własne gimnazyum prywatne w Opawie, dopłacając 300.000 złr., zanim gimnazyum to nie zostało upaństwowione. Polacy, idąc za przykładem Czechów, w 12 lat później założyli gimnazyum w Cieszynie. Czesi od lat 20-tu utrzymują szkołę ludową w Opawie, polacy dopiero teraz założyli ją w Cieszynie.

— A co pan myśli o t. zw. „Sporze czesko-polskim?"

— Spór ten — w tym sensie traktowany, jak na wiecu w Zakopanem — datuje się od lat trzech, kiedy to p. Friedel we Frysztaku założył „Głos ludu śląskiego".

Kto uczciwie i bezstronnie śledził działalność tego pisma, ten musi potępić jego taktykę. Jest to taktyka p. Haasego: wpierw rozpalić nienawiść, a potem dopiero szukać dowodów do poparcia i uzasadnienia tej nienawiści.

Spór dotyczy kilku gmin w powiecie bogumińskim, do których w ostatniem dziesięcioleciu przybyło dużo robotników z Galicyi.

W sprawie tej uwzględnić należy trzy punkty: historyczno-prawny, etnograficzny i polityczny.

Sami Polacy przyznają, iż „Śląsk już w 1030 r. odpadł od Polski — i odtąd stanowił dziedzictwo korony czeskiej, co się musiało odbić na charakterze kraju": przez 400 lat język czeski panował w Cieszyńskiem w szkole i kościele.

Taki potok, jak Ostrawica, nie może być etnograczną granicą dwóch narodów. Dlatego język czeski przekroczył Ostrawicę i sięgnął aż do gór, dlatego również powiat bogumiński przesiąknięty jest czeszczyzną.

Kiedy w 1629 r. Ferdynand II z Czech i Moraw wypędził protestantów, większa ich część wyszła do Węgier, mniejsza w Cieszyńskie; stąd to dziś jest wśród Polaków na Śląsku tyle nazwisk czeskich, sięgają one owych czasów emigracyi czeskiej. Faktem jest także iż do r. 1865 kościół protestancki w Księstwie Cieszyńskiem był czeski — i dopiero w owym roku pastor Ott zapoczątkował wśród swoich parafian zajęcie się literaturą polską i zaczął sprowadzać dla nich książki polskie.

Wobec tego, nikt się dziwić nie może, iż język czeski nie tylko trzymał się nad Ostrawicą, ale przesiąkał do Księstwa Cie-

szyńskiego. Byłoby rzeczą niebezpieczną rzucać prawem historycznem tak, jak to czyni *Głos ludu śląskiego*, domagając się „przyłączenia Śląska Cieszyńskiego do Galicyi“.

Spór tedy jest ważny, i nie można go traktować tak lekkomyślnie i z taką nieznajomością rzeczy, jak to czyni p. Friedel, posłuszny myśli dr Haasego.

— Czy dużą przestrzeń obejmuje terytoryum sporne?

— Właściwie, ściśle biorąc, chodzi tu o pięć wiosek, do których Czesi mają prawo, oparte na 500-letniem posiadaniu. Do wiosek tych przybyli, jak to wspomniałem, robotnicy polscy z Galicyi i w ciągu lat kilkunastu, tam się osiedlili. Żaden poważny Czech nie odmawia ludności polskiej praw językowych, kiedy robotnicy zwracają się w tej mierze do gmin czeskich, ale kiedy p. Friedel reklamuje w swym „Głosie“ prawa polskie w Morawie Ostrawskiej, niechże daje wszystkie prawa czeskie w Cieszyńskiem.

Ludzie uczciwi i prawi nigdy z małych rzeczy nie wszczynają wielkiej walki, kiedy wiedzą, iż zwycięzcą będzie ktoś obcy — tutaj — Niemiec.

W Księstwie Cieszyńskiem całą władzę posiadają Niemcy. Polaków jest tam 200.000, czechów 80.000, więc pierwsi są w większości i atakują drugich. My atak wytrzymamy przez 10 i 20 lat, ale zobopólnie się osłabimy w walce, a skorzysta z tego — Niemiec. Polacy powinni pamiętać, że klęska Czechów na Białej Górze była nieszczęściem i dla Polski.

Jako patryota czeski a przyjaciel polaków występuję przeciwko zamachom p. Friedla, który szkodzi obu narodom.

— Czy są jakie środki zapobiegawcze przeciwko temu niepożądanemu sporowi?

— Są niewątpliwie. Oto poważna prasa polska powinna traktować całą sprawę z wielkim spokojem, nie dolewając oliwy do ognia.

Niedawno dzienniki polskie oburzały się, iż w Michałkowicach na Śląsku, przy wyborach do gminy, nie wybrano ani jednego Polaka, chociaż w tej gminie jest 3.600 Polaków, a tylko 2.600 Czechów.

Zapomniano tylko o jednem, a mianowicie, że według ustawy, mogą być wybierani tylko ci mieszkańcy, którzy płacą podatek bezpośredni; ponieważ zaś mieszkańcy polscy w gminie powyższej składają się wyłącznie z robotników, przeto prawa do wyboru nie posiadają, bo podatku tego nie płacą.

— Może szanowny poseł zechce ogólną stąd wyprowadzić konkluzyę?

— Jestem zdania, iż najlepiejby było cały ten spór powierzyć wybranemu *ad hoc* komitetowi rozjemczemu. Komitet ten powinni składać: historycy, etnografowie i politycy — zarówno czescy, jak i polscy. Członkowie tego sądu rozjemczego pracowaliby dotąd, dopókiby sporu nie rozstrzygnęli ku zobopólnemu zadowoleniu.

Tacy ludzie, jak: Piekosiński, Kętrzyński lub Zdziechowski — lepiej rzecz tę załatwią, aniżeli pp. Haase, Friedel i sp.

— Pan pozwoli, iż wynurzenia jego ogłoszę drukiem?

— Jak najchętniej.

Z obyczajów Szwajcaryi.

Zurych, w sierpniu.

W maluczkiej, a wielce „pofałdowanej“ Szwajcaryi, która jednak — słyszałem to z ust obywatela jej, — gdyby ją na„ płask“ rozłożyć, nie takby się znowu „maluczką“ wydawała, owóż w Sywajcaryi tej, w górskiem jej zwłaszcza jądrze, jakby na przekór lśniącym się od postępu modernizmu krańcowym, pogranicznym kantonom, — na pociechę umiejącego patrzeć na rzeczy wodza, — często jeszcze napotykać się daje to tu, to ówdzie czy zabytek, czy obyczaj jakiś, co to, niby spleśniała butelka węgrzyna, działaniu zdaje się urągać czasów, i jak ten węgrzyn, w odpowiedniej przyjęty dozie, rozgrzewa i wzrusza — i dreszczem poszanowania przejmuje dla minionej bezpowrotnie przeszłości, smakiem „myszki“ już tylko i śladami pleśni dla przeciętnego znaczącej się oka. Ostatnia niedziela kwietnia i pierwsza maja szczególną dały tu właśnie sposobność korzystania z widowisk, jakichby już dziś trudno szukać po za granicami ojczyzny Tella, a ściślej po za granicami szesciu jej kantonów i półkantonów, i ściągnęły licznych widzów wraz z korespondentami pierwszorzędnych organów prasy.

W terminach powyższych odbyły się bowiem w dwóch półkantonach Appenzellu (Rodach Wewnętrznych i Zewnętrznych), dwóch Unterwaldu (Obwaldzie i Nidwaldzie) i w dwóch kantonach: Glarus i Uri tak zwane Landesdemeind'y, — czyli wiece ludowe w najpierwotniejszej swej formie; gromada pod gołem niebem.

Mieszanina to parlamentów dzisiejszych i kongresów, i punkt ich wyjścia, najwyższa prawodawcza instancya i zgromadzenie wyborcze zarazem, jednoczące wszystkich, prawo głosu posiadających obywateli, podnoszeniem rąk lub w wypadkach niepewności przez rozdział na dwie grupy: za i przeciw, głosujących, ot tak, sub Jove odbierających przysięgę od świeżo wybranych urzędników i nawzajem składających im ją, a wszystko przy zachowaniu pewnych obrządków religijnych i obyczajowych i uroczystym nastroju nie z tego już świata i nie z tego wieku — wieku wszelkich obstrukcyi parlamentarnych, gdzie o „nastrojach“ chyba już tylko „karczemnych“ mowa być może. Jednem słowem, jest się czemu przyjrzeć, tłumy też widzów otaczają one „ryngi“, koła radzących owych mężów, czytaj: chłopów, których liczba stosownie do liczby mieszkańców kantonu, poważnych dochodzi rozmiarów, bo np. w półkantonie Rody Zewnętrzne w roku bież. sięgała 10 tysięcy.

Najwięcej wszakże zwróciła na siebie uwagi, choć mniej liczna, ale charakterystyczniejsza „Landesgemeind'a“ kantonu Uri. Stawili się na niej nawet korespondenci z „Journal des Debats“ i z „Revue de Paris“, nie mówiąc o przedstawicielach prasy „bliższej“.

Zgromadzenie odbyło się dnia 5-go maja w Boetzlingen an der Gaad, pod wsią Schaddorf, czterdzieści minut drogi od Altorfu, przy wspaniałej pogodzie — w otoczeniu przesiąkłych tradycyami historycznemi i legendą o Wilhelmie Tellu widoków: z wioską Bürglen od północno-wschodu, miejscem urodzenia Tella; z odbudowanemi ruinami zamczyska Attinghausen od południo-zachodu z Rothstockiem i Schlossbergiem na nieboskłonach.

Pochód ruszył z pod posągu Tella w Altorfie, gdzie na naczelnika swojego, landamana Muheim'a, odświętnie przystrojona czekała ludność kantonu, za którego ukazaniem się wszystkie odkryły się głowy i sprezentował broń oddział wojska przed ratuszem ustawiony. W pięciu landach ruszyli przodem urzędnicy, wokoło po drodze zaczepiając to tego, to owego z tłumu, ani zważając na majestatyczną powagę usadowionych na kozłach woźnych, z pałaszami lub berłami w ręku, a odzianych w czarno-żółte płaszcze.

Wzdłuż drogi, stragany z jabłkami, charakterystycznym dla kantonu owocem, rozlewają dokoła świeżą woń swoją, gdy na prawo i lewo drzewa pokryte kwieciem bieleją zapowiedzią przyszłego zbioru.

Stajemy wreszcie u celu, na historycznej łące Schaadu. Przed nami obszerny, kolisty Ring, otaczające go ławki pełne.

Za zbliżeniem się urzędników wszyscy powstają. Wchodzą: landamman, rada stanu, duchowieństwo. Pierwszy z sekretarzem swoim zasiadają przed stołem ustawionym w środku koła, na którym widnieją księgi praw, worek aksamitny, zawierający pieczęcie kantonu Uri z XVII jeszcze wieku; obok zaś chorągiew, bębny, buławy i rogi uryjskie.

Naczelny woźny, osobistość o obszernym zakresie działania, sadowi się na wzniesieniu ponad estradą i ztamtąd wygłasza sakramentalną formułę, otwierającą wiec, i wzywa nieupoważnionych do opuszczenia „ringu“. Na wezwanie to, zaplątana wśród wiecowników dama spiesznie uchodzi po za szranki koła i ginie w tłumie widzów.

Zgromadzenie przystępuje do wstępnej ceremonii religijnej. Zajmujący amfiteater „ringu“ mężowie, twarzami zwróceni na zewnątrz, pod przewodnictwem wyższego kleru, zgrupowanego dokoła proboszcza Altorfu, jako komisarza biskupiego, odmawiają oznaczoną ilość „zdrowasiek“ i „ojczenaszów“, poczem zagaja landamman zwięzłem, treściwem przemówieniem, witając pierwszą XX wieku wiosnę i dzień słoneczny, zapowiedź błogosławionego roku, jeżeli do uśmiechów natury ludzie dorzucić zechcą pracę, bez której i słońce staje się nawet bezsilnem.

Z kolei przystępuje zgromadzenie do wyczerpania porządku dziennego, w pierwszym zaś rzędzie do obioru urzędników kantonalnych i przedstawicieli związkowych. Po zaprzysiężeniu tych ostatnich, następują wzbory na urzędników sądowych. Zgodnie z przepisami kostytucyi dwóch wybierać miano. Od zaszytu tego widocznie obywatele wykręcają się jak mogą, jeden z nich nawet, ku ogólnej wesołości, wrzekomą „Dummheit“ swoją wysunął jako argument, który mu wszakże nie pomógł. Już to stanowiska sądowe w ojczyźnie Tella nie posiadają zbytku amatorów, ale bo też i do zbytkowych nie należą: członkowie sądu wyższego płatni są po 2 fr., za posiedzenie, prezes pobiera aż 60 fr. rocznie, a prezesi sądów okręgowych po 150 fr.

Po załatwieniu wyborów, kolej na przyjmowanie nowych obywateli: 2 zgłosiło się wszystkiego — przyjęci obaj, ale za opłatą 300 i 500 franków — zaszczyt wcale kosztowny. Gdzie jednak szukać niekosztownych zaszczytów?

Nareszcie o godz. 2. zaczynają się ogólniejszej natury rozprawy. Kanton Uri nie posiada własnej średniej szkoły wyższej, czyli gimnazyum, t. zw. tu kolegium. Owóż czy kanton życzy sobie, tak czy nie, szkołę taką posiadać za cenę 220.000 franków — oto pytanie, nad którem około godziny 2,

pod żarem słonecznych promieni, gorąca rozwinęła się rozprawa. Rząd wszelkiemi siłami wniosek popiera, popiera go partya konserwatywna, natrafia jednak na opór partyi „zdrowego chłopskiego rozumu“. Na opór zwłaszcza mieszkańców oddalonych zakątków górskich „ludzi z Urseren, Wasen i Andermattu“, którym równie daleko wysyłać synów do szkół wyższych do Altorfu, gdzie proponowano zbudować nową szkołę, jak do Szwyc, Gharusu lub Lucerny — woleliby oni naprzykład tę lub ową zbudować, czy poprawić drogę, przypominają ten lub ów próżny w przeszłości wydatek, rozprawiają gorąco, a nie głupio, zapalają się, krzyczą, aż wreszcie przychodzi do głosowania. Daremnie jednak wśród zamieszania woźny naczelny po trzykroć próbuje obliczyć głosy, pozostaje jedynie klasyczny sposób: rozdziału głosujących na dwie gromady. Dwóch tedy skrutatorów, wybranych z grona sądowników, uprzedza przed sobą defiladę rozcietrzewionych obywateli, na dwóch przeciwległych sobie krańcach łąki, i po upływie półgodziny ogłasza wynik 886 przeciw 836 za. Wniosek przepadł przy głośnych oklaskach "ludzi“ z Urseren, Wasen i Andermattu.

O godztnie pół do 5 zaledwie przystąpiono do rozstrzygnięcia ostatniej na porządku dziennym sprawy: 700 obywateli żądało rewizyi uchwalonego w r z. prawa, nakazującego święcenia niedzieli, wychodząc z założenia, iż prawo to w sezonie cudzoziemców rujnuje miejscowy przemysł i handel. Wniosek ten odrzucono, poczem zamknięto zgromadzenie.

I rozpoczęła się powrotna ku Altorfowi defilada, z urzędnikami nowoobranymi w powozach, którzy lat temu jeszcze trzydzieści konno spacer ten odbywali. Zwyczaj ów jednak zniesiono, zbyt często podobno bowiem konie bez jeźdźców powracały do miasta, co bądź co bądź uwłaczało powadze pogubionych po drodze urzędników.

Bożydar.

Po wiślanej fali.

Po wiślanej szarej fali
Płynie echo z mgławej dali,
Przez ten srebrny gaj wierzbowy
Hen, z pod lasu, od dąbrowy;
Haftowanym sunie szlakiem,
Nurknie rybką, frunie ptakiem,
Jak jaskółka skrzydłem brodzi
W rozpryśniętej skier powodzi,
A kołysze się — a płynie
Po złotawej wód głębinie.

Idzie z góry, idzie z dołu,
Przeciw fali i pospołu,
Haftowanym płynie szlakiem:
Ano — Mazur z Krakowiakiem !...
Nuta żwawa, albo cicha,
Czasem huknie, czasem wzdycha,
Plusnie, dźwięknie, klaśnie, zginie
I mrze z falą gdzieś w wiklinie.

Nad wiślaną, drżącą tonią,
Skowronkowe piosnki dzwonią.
Zasłuchane stoją drzewa,
Jako sobie fala śpiewa;
Stoją smagłe Krakowianki,
W kalinowe zdobne wianki,
Stoi, wzrosła tu od dziecka,
Wierzba, wiochna mazowiecka.

Na wiślanej, szklistej toni
Biała chmurka chmurkę goni,
A pocięty bruzdą w szmaty
Kładzie błękit modre kwiaty,
Zaś od brzegu — oku wola!
W kwiecie — łąki, w kłosach — pola;
W zbożu tańczy chaber z makiem,
Niby Mazur z Krakowiakiem.

Na wiślanej, płynnej toni
Jakiejś świeżej pełno woni,
Od łąk kośnych, lasów wianka,
Smółki, wrzosy, macierzanka.
A nad wszystko, w skwarną ciszę,
Rzeka tchem wilgotnym dysze,
I z opary drgającemi
Mięsza jędrny zapach ziemi.

Na wiślanej, cichej fali
Już się zachód słońca pali,
Szkli się tafla, pełna blasku,
Jak tło złote na obrazku,
Chluśnie ryba, tknie jaskółkb,
Wnet, jak w pasie, biegną kółka,
A gdzieś z wiosłem rozigrana
Pluszcze fala: dana, dana!..

Płonie fala, kraśna taka,
Jak krakuska Krakowiaka,
W nią zaś niebo wpina górą
Z jasnej tęczy pawie pióro;
Gdy naprzeciw w granat tkana
Mazowiecka znów sukmana;
Srebrzy miesiąc w fale spływa,
Ano! — rzekłbyś — czapka siwa...

Na wiślanej chłodnej fali
Zmrok rozlewa połysk stali;
Od miesiąca płynie długa
Karbowana, srebrna smuga,
Ognik mruga gdzieś daleko,
Szumią drzewa po nad rzeką,
Wiatr się zrywa rozszemrany,
Wstają srebrne mgły tumany.

Na wiślane senne fale
Patrzą z nieba gwiazd opale,
I tak słucha nocka cicha,
Jako sobie Wisła wzdycha.
Cyt! Krakowiak echem płynie,
Mazur wtórzy mu w dolinie,
Macierz Wisła kołysana
Będzie marzyć tak do rana...

Gabryela Biernacka.

DZIECKO.

(Dokończenie).

W kilka tygodni po okrężnem państwo wyprawili wesele młodej parze, dali stangretowi mieszkanie w czworakach, ordynaryę, powiększyli zasługi, a Rózię obdarzyli krową. Walek miłował bardzo swoją młodą żonę, ona jego, przystroiła stancyjkę firaneczkami i doniczkami pelargonii, pracowała od świtu do nocy zawsze wesoła, z piosnką na ustach.

— Różka — spytał się raz Walek — chciałabyś być jaśnie panią i mieszkać we dworze?

— Wolę z tobą w naszej stancyi, niż bez ciebie we dworze — odparła i pocałowała męża w oba policzki.

Późną jesienią Walenty został ojcem ładnego chłopaka i rzecz dziwna, zamiast weselić się i radować, spoważniał, spochmurniał i nawet żonie nieraz ostre słowo powiedział.

— Walek, co się z tobą stało, mówiła Rózia, Bóg dał nam dziecko, pociechę na stare lata, a ty się markocisz, Boga obrażasz, niewiedzieć czemu.

Raz i drugi wysłuchał spokojnie rozsądnego napomnienia, nareszcie wybuchnął:

— Kiedyś głupia i sama nie rozumiesz, to ci powiem. Chłopak jak malowanie, jak pańskie dziecko i co mu z tego przyjdzie? Ciemny, głupi, bez kawałka roli, zawsze tylko parobkiem będzie.

— Walek, Walek, albo ci to krzywda, albo ci to źle?

— Mnie nie krzywda, mnie nie jest źle, bom ciemny, bom głupi, ale ja chcę, żeby mojemu dziecku było inaczej. Słuchaj, od Godów wyniesiemy się do miasta, do dużego miasta i kwita. Robotę i tam znajdziemy, bo mamy zdrowe ręce, a dzieciak się nie zmarnuje w chłopskim stanie, nie będzie taki ciemny, jak ojciec, będzie chodził do szkoły i dużo pięknych rzeczy się nauczy. Zrozumiałaś? a jak nie zrozumiałaś, to też nic nie pomoże. Podziękuję dziedzicowi, a potem do Warszawy. Pracę znajdę i żadnej się nie polenię.

Nie pomogły łzy i prośby żony, ani perswazye pana, uparł się i na swojem postawił. Sprzedali sprzęty, domowiznę i opuścili Grabowice, ona z zapuchniętemi oczami, on blady, milczący, a Jasiek z wytrzeszczonemi ciekawie na świat ślepkami.

W wagonie dopiero odezwał się Walek do żony:

— Jaka z ciebie matka, beczysz, sama nie wiesz czego! I mnie żal naszych Grabowic, i naszej chaty, i naszego lasu, ale dowiedziałem się niejednego od ludzi. Abo to nie słyszałem z kozła, jak panowie rozmawiali. Kalkulowałem tak i owak i powiedziałem sobie:

Nasze dziecko nie będzie ciemne, nie będzie głupie, musi się uczyć! A czem wcześniej pójdziemy do miasta, tem lepiej. No, nie becz już!

W Warszawie Walenty nie mógł dostać przez długi czas roboty; nie znał ani miasta, ani ludzi, więc po całodziennej bezowocnej wędrówce wracał coraz smutniejszy, coraz pokorniejszy, a całując zmizerowaną Rózię, mówił:

— Nie płacz, ta bieda, ta poniewierka, to wszystko dla naszego chłopca, dla naszego dziecka, dla naszego jedynaka. Różka, otrzyj łzy!

Dostał nareszcie robotę przy kanalizacyi. Oj, ciężko i niezręcznie szła mu ta robota, ale nic nie narzekał, nie skarżył się, choć kurcz za gardło go chwytał, a pierś rozsadzała tęsknota za piękną wsią kujawską, łanami zboża, śpiewem skowronka i szczękiem kosy. Kamienie paliły mu stopy, ręce krwawiły się, towarzysze drwili z mruka. On zaciął się, znosił przymówki w milczeniu, a wróciwszy do ciemnej i wilgotnej nawet latem suteryny, rzucał się na siennik bez słowa jednego, wpijał paznogcie w skórę i przygryzał wargi do krwi z myślą: Ta męka, ta tęsknica, ta żałość moja, to wszystko dla dziecka. Niech nie będzie ciemne, niech nie będzie głupie, niech się uczy!

Rózia, kołysząc Jaśka, modliła się do Boga o łaskę i zmiłowanie. I ona tęskniła, ale wiedziała, że Walek się zawziął, na wieś nie wróci, więc milczała także.

Jednego ranka wyszedł wcześniej niż zwykle, śniadania nie dotknął, na żonę i dziecko nie spojrzał. Pracował za trzech, pot lał się strumieniem po ciele, on nie czuł głodu, gorąca, głosu towarzyszów, czuł tylko, że w skroniach wali mu jak młotem, a chwilami odetchnąć ciężko.

Naraz uczuł straszny zawrót głowy, ciemność w oczach, zatrzepotał rękoma w powietrzu i runął na ziemię, uderzając skronią o kamień.

Wezwane pogotowie zawiozło umierającego do szpitala.

Ostatnie słowa, jakie wyrzekł na tej ziemi, były: I dziecko!

Umarł, nie pożegnawszy żony, nie skreśliwszy krzyżyka nad główką tego dziecka, którego nie chciał widzieć ciemnem i głupiem.

S. Posner.

Socyologia.

(Dokończenie).

Stąd rodzi się nowe pytanie. Jakie były rzeczywiste drogi rozwoju ducha ludzkiego? Trzy są główne etapy tej wędrówki: teologiczny, metafizyczny i pozytywny, które jednocześnie odpowiadają drodze, która wiedzie od fantazyi do rozumu. Comte kreśli też szczegółowe dzieje rozwoju umysłowości ludzkiej w granicach tych trzech etapów.

Tak, mniej więcej, przedstawia się w krótkim cieniowym zarysie system socyologiczny Comte'yzmu, z „wieku i urzędu“ pierwszy, czcigodny dziś już zmurszały i omszały organizm pomysłów, zapoczątkowań, pojęć mgławicowych. Z szacunkiem wymieniamy jego imię. Zostanie na zawsze w dziejach socyologii jedną z pierwszych jej, szacowną stronicą. Gdyby nawet zupełną wartość dogmatyczną miał ten system stracić, pozostanie literacką relikwią. Dlatego też musieliśmy mu najwięcej miejsca w przeglądzie naszym poświęcić.

2. Dawno już zauważono, że w systemie Comte'a tkwi zasadnicza sprzeczność. Biologia ma spoczywać u podłoża socyologii i szereg społeczny jest dalszym ciągiem zwierzęcego. Ale cechy jednostki nie dają podstawy dla objaśnienia rozwoju społeczeństwa; nie sposób otrzymać „socyologii“ z „fizyologii“. Ostatecznie biologia daje nam tylko kilka ogólnych pojęć, jako to pojęcie rozwoju, specyalizacyi organów, solidarności i t d. Prawo zaś właściwie, „pozytywnie“ socyologiczne stanowi zasada trójdzielności rozwoju, zasada teoryo-poznawcza, zaś nie biologiczna. Widzimy tedy, że nadając biologii początkowo królewski autorytet, odrzucił ją w następnych i końcowych rozdziałach zupełnie. Sprzeczność ta, jak to już niejednokrotnie bywało w dziejach systemów metafizycznych dała życie dwu szkołom socyologicznym. Wraz ze śmiercią Comte'a rozwidliło się pojęcie i zakres socyologii. Jedni — najbliżsi mistrza uczniowie, ci, co u stóp jego siedzieli, przyjmują formułę w. ostatecznej jej redakcyi: dla nich miarodajną jest zasada trzech stanów; wierzą święcie w powagę zasady rozwoju ducha dla dziejów ludzkości. To są właściwi Comte'a epigoni: Littré, de Roberty, de Greef, że wymienimy tylko najznakomitszych.

Prócz zaznaczonych przed chwilą haseł, wokoło których zgrupowali oni swoje wysiłki naukowe — wysunęli na plan pierwszy jedną jeszcze zasadę, której Comte same niezmiernie poważne przypisywał znaczenie: zasadę klasyfikacyi, hierarchii umiejętności. Littré, wierny uczeń, najbardziej oddany komentator i popularyzator pozytywizmu uważał ją za kopułę zamykającą u szczytu gmach systemu. Z tego tytułu nazwano też przedstawicieli tego kierunku, który już teoretycznie nie zdołał wyjść obronną ręką z procesu, wytoczonego przez Spencera — *szkołą klasyfikacyjną*. Ani poprawki Roberty'ego, ani usiłowania Greefa nie wprowadziły do logicznie, ale nie historycznie prawidłowego szeregu Comte'a pierwiastku życia.

Taki był jeden kierunek studyów socyologicznych w promieniu spadku po Comte'cie prowadzonych. Druga grupa, pozostawiając na uboczu zasadę teoryo-poznawczą oparła swe wywody na pierwszem racej założeniu — na biologicznym rodowodzie czy współzależności socyologii i stworzyła drugi bogaty w nazwiska i prace odłam socyologów.

3. *Socyologia biologiczna.* Wiadomości biologiczne Comte'a były jeszcze nader zzczupłe. Nie skorzystał on już wcale z odkryć ostatnich dziesięcioleci swego życia, odkał się raczej budowaniu nowego pozytywistycznego kościoła. Tymczasem nauka o przyrodzie żywej uczyniła kolosalne postępy i ukuła na użytek socyologów cały szereg argumentów. Skorzystał z nich w pierwszym rzędzie genialny „syntetyk“ angielski Herbert Spencer i pobudził do pracy w tym kierunku cały szereg uczonych mniejszej siły umysłowej: tą drogą poszli Schäffle i Lilienfeld w Niemczech, Fouillée i Worms we Francyi i wielu innych. Przed laty trzydziestu grupa ta święciła wielkie tryumfy, mniemano, że tutaj właśnie socyologia znalazła swój „klucz złoty“. Dziś prócz autorów samych panuje najzupełniejsze rozczarowanie, a pokolenie najmłodsze niczego się już od socyologii biologicznej nie spodziewa. Najlepszym dowodem takiej „opinii powszechnej“ były obrady niedawnego Kongresu socyologicznego w Paryżu, kiedy to filozof berneński Stein stwierdził ostateczne bankructwo szkoły i zapowiedział, że sam napisać się ofiaruje jej historyę. Istotnie dedukcye z analogii, które zdawały się początkowo odsłaniać szczelnie, na siedm pieczęci zamknięte i niedostępne skądinąd tajemnice życia społecznego, stosowane błędnie i niemetodycznie, stawały się i z biegiem czasu przedmiotem zabawy w rękach żonglerów socyologii i zamiast rzeczywistego obrazu tworzyły karykatury umiejętne na pozór, jakoto: poszukiwania „pępka społecznego“ (Bluntschli), patologię senatora Lilienfelda, terapię i hygienę R. Wormsa.

4. Świadomość błędnego koła, w którem uwięziona została myśl socyologiczna, ogarnęła z biegiem czasu bardziej krytyczne umysły wśród gromady zasadniczo grupującej się około Spencera. W promieniu tej świadomości powstały systemy socyologii *dualistycznej* (z tytułu przeciwstawności do monizmu Spencera) obszerne dzieło Lestera F. Ward'a, podręcznik Giddings'a (obaj amerykanie) — in. Po części — aczkolwiek w innym sensie — odbywa się tutaj powrót do Comte'a, do zasady samowładztwa ducha ludzkiego. Przeciwstawienie pierwiastków „natury“ i „ducha“ początkowo tylko, jako punkt wyjścia krytyczny ze sprzeczności spenceryzmu z niezupełną tylko świadomością odczuwane przez Ward'a (także przez Mackenzie'go i Hauriou) u Giddings'a w najnowszym i w ogóle ostatnim w stuleciu XIX zarysie ogólnym socyologii zostaje przeprowadzonem konsenkwentnie dla całokształtu rozwoju społeczeństw ludzkich w czasie i przestrzeni.

5. Już Spencer korzystał obficie w swoich uogólnieniach z materyału etnograficznego. Na ten czas bowiem przypada bujny rozkwit poszukiwań ludoznawczych szczególnie w Ameryce i Anglii, w mniejszym stopniu na kontynencie europejskim, trwający ciągle po dzień dzisiejszy nie ukończony, a w ogromie swym potężne i na pozór niewyczerpane tworzący źródło czy podłoże dociekań socyologicznych. W promieniu tego materyału powstają również systematyczne uogólnienia socyologiczne. Na nich buduje swoje ciekawe a niewyczerpane z goła dedukcye znakomity nasz ziomek Ludwik Gumplowicz, (dzieje jako walka ras; różnice społeczne pierwotnie etniczne, następnie stają się ekonomicznemi; niewola, nierówność i walka jako pierwiastki wieczne i t. p.). Nie ulega żadnej wątpliwości, że pojęcie „grupy“ przez niego po raz pierwszy z taką siłą wprowadzone i podkreślone w wykładzie socyologii, pozostanie stałym pierwiastkiem badań nad dziejami społecznemi ludzkości i w epoce przyszłej. Tutaj należą również badania i uogólnienia t z. dziejów kultury ludzkiej (Morgan, Ratzel etc.).

6. Daleko jesteśmy jeszcze od ostatniego słowa socyologii. Dziś wre ferment krytyczny. Nie sposób jest nie zamknąć obrazu wysiłków stulecia pesymistycznym wykrzyknikiem. Nie jest to jednak pesymizm starości, jeno pesymizm chwili przełomowej. Socyologia wychodzić zaczyna powoli z powijaków frazeologii. Jeżeli prawda jest, że dzieje wszystkich nauk duchownych są zarazem przeważnie dziejami ich błędów, to socyologia ma tę historyę już za sobą. Świadomość tego, że dotychczasowe badania, tutaj niestety tylko w bardzo niedostatecznej, często mało wyraźnej, z musu oderwanej formie naszkicowane — nie mogą doprowadzić do rezultatów spodziewanych i wyśnionych, ta świadomość podpowiada jednocześnie drogi, które osiągnięcie takich rezultatów umożliwić są zdolne. Kwestya metody przez wielkich mistrzów socyologii stulecia pozostawiona bez odpowiedzi dziś dopominać zaczyna się o swoje zasadnicze prawa. Jeżeli metoda ta w okresie comte'yzmu i jego wyznawców była spekulacyjna, a w epoce następnej (biologicznej—organicznej) — była naturalistyczną, to dziś stwierdzić musimy, że staje się ona z jednej strony *historyczną*, z drugiej *psychologiczną*, wreszcie *teoryo-poznawczą*. Już przed laty kilkunastu secyolog włoski Vanni nazwał historycyzm „gościńcem królewskim“ socyologii i świadomość konieczności stosowania tej metody — obca nader wielu i to najzdolniejszym socyologom doby ubiegłej — staje się dziś powszechną. Pod tym względem socyologia podąża w znacznem oddaleniu i z kilkodziesięcioletniem opóźnieniem za powszechnym rozwojem nauk. Niestety w świadomości tej poczęty dorobek naukowy jest dziś jeszcze nader szczupły. Jeżeli jednak uważać będziemy prace Simmel'a, Tarde'a, Stammlera nie jako rezultaty, nie jako punkty krańcowe i kresowe,



E. Blaas. ZALOTY.

lecz jako zapoczątkowania albo prolegomena, lub jako punkty wyjścia — to odsłonią nam się dalekie i promienne perspektywy.

Zbawienie socyologii nie leży w „systemacie“. Tutaj, jak to zresztą bywało w innych umiejętnościach, musi nastąpić czas, kiedy zaniknie wszelka dążność do budowania systemów. Wydaje nam się, że ta chwila przypada właśnie na dobę obecną. Tylko monograficzny — źródłowy — metodyczny sposób przedstawienia wielu i wielu tysięcy zagadnień, zarówno dotyczących powstania społeczeństw ludzkich, jako też ich współczesnego bytowania, może przyczynić się do zbudowania umiejętności socyologii. Pod tym względem można dziś już wskazać wcale znakomite przyczynki (np. „zróżniczkowanie“ społeczne Simmel'a, „naśladownictwo“ Tarde'a i t. d. badania zapoczątkowane przez materyalizm ekonomiczny, a szczególnie zagadnienia „walki klasowej“ w związku z walką grup i t. d.). Wszystko to jednak są zapoczątkowania, pierwiosnki socyologiczne, pierwsze wiosny socyologicznej jaskółki.

O przyszłości socyologii, jako umiejętności, świadczyć zaczyna powaga, jaką zdobywa w zakresie literatury czasopiśmienniczej. Dawniej musiała korzystać z gościnności u przedstawicieli innych dawniej zróżniczkowanych i zorganizowanych nauk (historya, ekonomia polityczna). Dziś posiada własne specyalne czasopisma (*Revue internationale de Sociologie, American, Journal of Sociology, Rivista Italiana di Sociologia*), posiada swoją akademię w postaci instytutu międzynarodowego socyologii, założonego w lipcu 1893 r. staraniem R. Wormsa. Instytut ten zwołuje międzynarodowe kongresy socyologiczne (od r. 1894) i wydaje prace swoich członków. W związku z tą działalnością wymienić należy rocznik bibliograficzny socyologii, wydawany przez Durkhaima (L'Anneé Sociologique 3 roczniki). Socyologia przedostaje się również na katedry uniwersyteckie. W Ameryce ma już od lat kilkunastu swoje katedry specyalne, powoli jednak zdobywa uznanie sfer uniwersyteckich w Europie. Pod tym względem, jako zdobycz najwyższą wymienić należy fakt objęcia katedry po Pawle Janet w Collége de France przez jednego z najzdolniejszych socyologów współczesnych, a najmędrszego socyologa francuskiego, Gabryela Tarde'a.

Każdy kierunek socyologiczny znajdował u nas wyznawców swoich i popularyzatorów, bądź ślepo przyjmujących na wiarę doktryny egzotyczne, bądź też krytycznie je przetwarzających. Praca ta w przeważnej swej części nie miała charakteru umiejętnego, jeno publicystyczne z potrzeby „dnia dzisiejszego“ zrodzone zabarwienie. Nie wymieniając żyjących, składamy na tem zaszczytnem miejscu hołd pamięci Stanisława Krusińskiego i J. K. Potockiego.

Naturalny rozwój myśli i spraw ludzkich głuchy jest na konwencyonalne uroczyste rocznice, a ślepy na sztuczne, na arytmetyce oparte drogowskazy. Jubileusze nie obchodzą nauki. Ocean poznania, nieobjęty i niezgłębiony, toczy swe wody obojętny na radości nasze, granice i daty nikłe, bo ludzkie. „Z dnia na dzień“ nie zachodzą zmiany w układzie umiejętności. I dlatego właśnie trudno jest powiedzieć, co w zakresie jakiejkolwiekbądź umiejętności zdziałało stulecie. A jeżeli z pytaniem takiem zwrócimy się do wieku XIX i zapytamy, czego dokonało ono w dziedzinie socyologii, odpowie: „Dałem jej życie, próbowałem, pytałem, jeśli błądziłem, to w znoju, powagi a ciekawości pełne. Nie żyłem darmo. Dziś niech obejmie dziedzictwo stulecie następne, stulecie organizacyj społecznych, *Stulecie Uspołecznienia, Stulecie Socyologii*“.

Helena Cepryńska.

SZCZĘŚCIE.

Szczęście moje! Szatą białą
Migasz w pośród burz! ..
Szczęście moje! Migasz w dali —
Budzisz z martwych, co skonało —
I na dum kołyszesz fali —
Wijesz wieńce z róż!...

I stęsknione oczy moje
Śledzą gwiazd twych szlak —
I bijące żarem skronie —
Myślę o nim — marzę — roję —
I w tęsknoty lecę tonie,
Jak w powietrze ptak!

Gwiazdą jasną na lazurze,
Niedościgłą mi —
Płoniesz, świecisz mi na niebie —
Migasz iskrą w ciemnej chmurze —
Ani dojrzeć mi już ciebie —
Oczy ćmią mi łzy..

Rąbek ciemnej prysnął chmury,
Słońca buchnął blask! —
Poweselał świat dokoła,
Świat przed chwilą tak ponury!
Szczęście!... Szczęście na mnie woła —
Szczęścia widzę brzask!...

A wtem wichr się zerwał w lesie —
Wzbił na drodze kurz...
Zahuczało.. zaszumiało..
Wichr tumany piasku niesie —
Szczęście moje! Szatą białą
Migasz wpośród burz!..

Literatura niemiecka.

(Nowości wydawnicze niemieckie Pani Viebig: „Wieś babska“. Wassermann: Historya Renaty Fux“).

W piśmiennictwie niemieckiem lat ostatnich biegną równolegle dwa prądy, z których jeden można nazwać wielkomiejskim, drugi partykularystycznym. Berlin chce być drugim Paryżem, Wiedeń i Monachium — drugim Berlinem. Tu i tam zakwitają międzynarodowe kwiaty nerwowej, wyrafinowanej hyperkultury, dające „nowe dreszcze, nowe tajemnice“: nową sztukę, sztukę dekadentów, symbolistów, estetów, parnasistów, sztukę Ryszarda Demehla, Stefana George'a, Hugona v. Hofmannsthal i Przybyszewskiego, zgodnych z sobą tylko w nowowaniu, w oderwaniu się od realnej rzeczywistości i szukaniu nowych bóstw — bodaj w sobie samych. Obok nich — ale daleko czasem i myślą — żyje wielki świat prowincyi, silnie tkwiący korzeniami w właściwościach gleby rodzinnej, przywiązany do niej, do jej tradycyj i interesów, czerpiący z niej spokój, choćby przechodzący w filisterstwo, zdrowie, choćby ograniczający wewnętrzny, dalekonośny wzrok duszy — dobre zasady, choć rzadko wielką sztukę. Dobrą ona może być i jest ta *Heimatskunst*, malująca nie nagą duszę, nie treść ogólno-ludzką, lecz ludzi będących wykrawkami tak z psychologii przeciętności, jak i z etnografii, a żyjąca więcej teraźniejszością, niż wizyami jutra. Przedstawicieli jej nie braknie. Oto Max Halbe, którego *Heimat* — to Prusy zachodnie, Gustaw Falke i Otton Ernst, malujący Hamburg, Wilhelm v. Polenz — łużyczanin, Józef Ruederer — bawarczyk, wybitny poeta Detlev v. Liliencron, czerpiący soki twórcze z ziemi swej holsztyńskiej i t. d. Wszyscy oni pozostali wierni celowi, choć nie metodzie konsekwentnego naturalizmu: nie gubiąc się w drobiazgowem malowaniu *mielieu*, unikając drastyczności mistrzów paryskich, starają się o wierne uchwycenie właściwości natury i głębi duszy „bliższej ojczyzny“.

Najwybitniejszym utworem tego kierunku literackiego w ostatnim sezonie jest powieść Klary Viebig p. t.: „*Das Weiberdorf*“ („Wieś babska“). Autorka, urodzona w Trier, ukochała swoje strony rodzinne nad górną Mozelą, ziemię prostą, biedną i groźną. Raz opuściła to swoje terytoryum ojczyste i przeszła do Berlina, wsławiona pierwszemi nowelami, z gorącym, prawdziwie „prowincjonalnym“ idealizmem w duszu, spragniona wielkiego świata — wielkiej sztuki; lecz rychło ztąd uciekła, cisnąwszy wszetecznemu miastu romans: „*Es lebe die Kunst!*“ (Niech żyje sztuka! Berlin, 1899). Są to dzieje rozczarowania, zgotowanego naiwnej marzycielce przez augurów i spekulantów na wielkomiejskiej giełdzie artystycznej, — rozczarowania, po którem autorka przychodzi do siebie dopiero, dotknąwszy znowu stopą ziemi rodzinnej, zdala od gwaru i zewnętrznego szychu.

Z po nad ziemi tej wypłynęła ostatnia jej powieść: „*Wieś babska*“.

Dziwna powieść, mieszanina brutalnego naturalizmu i nawiwnej kobiecości, kipiącego wulkanicznie temperamentu i objektywnego, psychologicznego badania, bez złudzeń co do natury ludzkiej, chłopstwa i kobiet w szczególności, a przecie pełna dla nich sympatji i współczucia.

Jesteśmy w wiosce ziemi Eifel, ziemi smutnej, spalonej od ogni wygasłych wulkanów, mającej dla swych mieszkańców trochę głazów, trochę zieleni, mało chleba i dużo żaru w powietrzu i sercach. A opodal leży urodzajna, kwitnąca okolica westfalska, zasiana kominami fabrycznymi, kipiąca gwarem dziesiątek tysięcy robotników. Tam wędruje cała męska ludność wsi na robotę. Dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Piotra i Pawła wraca cała gromada do swych chat i rodzin, by krótko zabawić, nacieszyć się i po kilku dniach znowu wieś pustoszeje, zostają tylko baby, starcy nieruchomi i dzieci — wieś prawdziwie babska, gdzie miesiącami całemi mężczyzny ani cienia.

Przepraszam; został jeden jedyny Pittchen (Pietruś), trochę kulawy, próżniak, choć mądrala, znający się na wszystkich rzemiosłach i sztuczkach; jemu właściwie pracować się nie chce, zostaje więc przy żonie, przy całej niezliczonej gromadzie babskiej: jedyny kur wsród kurnika. Toż to jest życie, toż to raj! Drzwi się u niego nie zamykają, wizyty sypią się jedna po drugiej, naprzód pod nieobecność żony, potem w jej obecności, a Pittchen poczciwy wszystkie te hołdy przyjmuje z niezrównaną dobrodusznością. Co prawda, nie będąc wymagającym dla siebie, nie jest też nim zbytnio dla żony, a ta, czule go kochając, zabawia się niemniej czule w towarzystwie rzadkich na wsi gości: pięknego żandarma i wędrownego kupca.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika naukowa.

Planeta Eros.

O malutkim planecie Eros więcej dziś mówią w świecie, niż o wszystkich planetach naszego słonecznego systemu, — i nie dziw: Eros znaczy miłość — trudno więc, żeby o niej nie mówiono! Wiadomo, że planeta ten, cztery lata temu odkryty, należy do rzeszy asteroidów, wirujących pomiędzy Marsem a Jowiszem, oraz, że od roku zeszłego 57 obserwatoryów śledzi nieustannie jego bieg, w celu uzyskania sprawdzianu odległości naszej od Słońca. Obecnie pokazuje się, że planeta ten nie jest sam, że to są dwie gwiazdy, tworzące system i wirujące wzajemnie około siebie, — słowem, że Eros jest żonaty!

Już w końcu roku ubiegłego ogłosił dr. von Oppolzer, że wedle jego spostrzeżeń światło Erosa zmienia prawdopodobnie swą napiętość; obecnie potwierdzają to przypuszczenie pp. Andreé z obserwatoryum w Lugdunie i Rossard z obserwatoryum w Tuluzie. Ostatni z nich obserwował stale Erosa w d. 14, 15 i 16 lutego i zauważył, iż zmiany w napiętości światła są dość znaczne, bo podczas, gdy planeta w czasie *maximum* swej jasności był gwiazdą dziewiątej wielkości, świecił on w czasie *minimum* swego blasku już tylko jako gwiazda jedenastej wielkości. Porównanie *maximów* i *minimów* jasności wykazało trochę więcej niż dziesięć peryodów w ciągu jednego dnia, i długość każdego peryodu równą dwom godzinom i około dwudziestu dwom minutom.

Ponieważ Eros własnym blaskiem nie świeci przeto nie sposób zmian jego jasności wytłumaczyć inaczej, jak tylko tem, że to powierzchnia, która nam światło słoneczne odbija, będąc raz większą, to znowu mniejszą, skutek ten wywołuje. Że zaś niepodobna przypuścić, by jakieś ciało niebieskie było tak nieforemne, by posiadało powierzchnie tak nierównej wielkości, przeto niema wątpliwości, że to są dwie gwiazdy, wirujące wzajemnie około siebie, w sąsiedztwie tak blizkiem, że ich z tego oddalenia (dwie trzecie od Słońca odległości) rozróżnić nie możemy.

Będzie to jedyny w naszym planetarnym systemie typ gwiazdy podwójnej. Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uranus i Neptun mają wprawdzie towarzyszów w swych księżycach, które około nich toczą swoje kręgi, podczas gdy one same, jak gdyby im nie współczując zgoła, płyną z dumną obojętnością w dal, nie schodząc ze swej orbity. Tu jednakże mamy dwie gwiazdy, skojarzone w ten sposób, iż ciążąc wzajemnie ku sobie, wirują przez wszystkie wieki jedna około drugiej, tworząc niejako świat cały dla siebie! — prawdziwy obraz szczęśliwego małżeńskiego stadła, ożywionego zawsze jedną i tą samą myślą, żyjącego jednem i tem samem uczuciem?

Rzecz istotnie ciekawa, że się takie stadło gwiazd skojarzyć mogło w tej właśnie strefie, gdzie przeważny wpływ olbrzymiego Jowisza nie dopuścił ukształtowania się większego planety. Musiała tu przecież siła przyciągająca tego mocarza czynić wstręty temu związkowi, odrywać cząstki materyi kosmicznej, ciążące ku sobie. Lecz czegoż nie przezwycięży miłość, a planeta nasz ma Eros na imię. Nie, naprawdę, myśl ta rozmarza. P. Antoni Lange, który tak lubi naukowe tematy, powinienby romans Erosa wziąć za przedmiot artystycznego obrobienia. Szkoda tylko, że te piękne rzeczy, tak do żeniaczki zachęcające, dziać się muszą nie na ziemi, lecz na niebie..

Sprawozdania literackie.

Antoni Małecki. **Juliusz Słowacki**. Trzecie poprawione i pomnożone wydanie Lwów.

Dumny od dzieciństwa już marzący o sławie pośmiertnej autor „Balladyny" doznał od mściwego losu srogiej kary: oto znalazł biografa w osobie p. F. Hoesicka, który w trzech ogromnych tomach (Kraków 1898) z niezwykłem mistrzowstwem, choć podobno w dobrej wierze, wyszydził i wyśmiał nielitościwie biednego poetę. Najcudniejsze kwiaty naszej poezyi ustąpiły w tej „biografii psychologicznej" miejsca opisom kratkowanych tużurków i paskowanych pantalonów, natchnienie zastąpiły fizyologiczne porywy, a dusza poety tak dalece roztopiła się w mnóstwie wprost piramidalnych domyślników i dociekań biografa, że z nielicznych jej śladów niepodobna osądzić, czy należała do genialnego twórcy „W Szwajcaryi", czy do nowoczesnego modnisia, prześladującego na bruku miejskim „żywe obrazki". Była to zemsta, od której — jak powiada Wallenrod — „strasznie szej nie wymyśli piekło".

Dobrze się więc stało, że po tej smutnej, pseudo-naukowej elokubracyi przypomniano naszej publiczności znakomite dzieło Małeckiego. Trzydzieści pięć lat mija od czasu, kiedy pierwsze jego wydanie ukazało się we Lwowie, budząc powszechny podziw i dając początek poważnym studyom literackim u nas, a przecież do tej pory nie straciło ono nic ze swojej wartości. Była to pierwsza praca o Słowackim (życiu Reitzenheima i artykułu Krasińskiego nie można do nich zaliczać) — dziś mamy ich niemal setki, a jednak ta pierwsza stoi wdzięku ani podobieństwa, ogólne jego zarysy pozostały te same. Jednakże, choć ogólny obraz się nie zmienił, niepodobieństwem było, aby nie zmieniły się również szczegóły. Przez ten długi szereg lat, w którym nasza krytyka literacka przeżyła swe lata dziecięce i młodzieńcze, ukazało się tyle często znakomitych studyów o poszczególnych utworach Słowackiego, tyle nieznanych dotychczas jego utworów i listów ogłoszono w czasopismach lub osobnych książkach, że owe kontury, zakreślone przez prof. Małeckiego, musiały się jużto wypełnić i uzupełnić, już to uledz pewnym, mniej lub więcej drobnym zmianom.

Wobec tego niepodobieństwem prawie było wydawać, po wyczerpaniu drugiego nakładu, to dzieło w niezmienionej zupełnie postaci. Zrozumiał to sędziwy autor, zrozumieli wydawcy — i do trzeciego wydania zabrano się z rzadką u nas starannością. Każdy ustęp, każdy prawie wiersz dzieła zestawiono z nadzwyczajną sumiennością z wynikami najnowszych badań, uzupełniono to, czego brakło w pierwszych dwóch wydaniach, sprostowano uchybienia i zmieniono niezgodne już z dzisiejszym stanem nauki zdania. Część tej żmudnej pracy przeprowadził sam autor, drugą zaś, o wiele większą i pracowitszą podał w przypiskach Bronisław Gubrynowicz.

Wszystko, co tylko krytyka literacka powiedziała dotychczas o autorze „Anhellego", zebrano tu z czasopism i broszur aż do najdrobniejszych szczegółów, większe prace naukowe wyzyskano do ostateczności, odsyłając do nich czytelnika przy każdej kwestyi — słowem uczyniono wszystko, co cześć dla genialnego poety i szacunek dla sędziwego jubilata zdziałać mogły. Czytelnik ma skutkiem tego przed sobą jakby dwa dzieła, dwie rozprawy: jedno, genialne, ale przyprószone już pyłkiem starości, drugie, którego tytuł mógłby brzmieć: „Stan najnowszych badań nad Słowackim", strząsające z tamtego ów pyłek i wracające mu przez to świeżość młodzieńczą, a wraz z nią i niespożytą wartość.

Nowe książki.

Cecylia Walewska. **„Bez duszy"**. Warszawa.

Kobieta „bez duszy" jest niejaka pani Nuna (?!) Zarzecka, która, sprzykrzywszy sobie pożycie z poczciwym i kochającym ją filistrem, rozwodzi się z nim, rzuca dom i dwoje dzieci, targa więzy wszelkich obowiązków i sprzedaje się bogatemu Zarzeckiemu. Zostawszy jego żoną, oddaje się fali zabaw, króluje na balach, włóczy się po miejscach kąpielowych, aż wreszcie ogarnia ją nuda i przesyt. Budzi się w niej z całą siłą wstręt do męża, dokoła siebie czuje pustkę i teraz dopiero zaczyna przeczuwać że po za tym światem, który ją dotąd całkowicie pochłaniał, istnieje jeszcze świat inny — całe niezmierzone państwo duszy. W takich warunkach los stawia na jej drodze mistyka i symbolistę, sławnego malarza Nordena. Nuna pozuje mu do obrazu i między dwojgiem dzieci zadzierżga się nić tajemniczej sympatyi. Norden, skazany na śmierć suchotnik, wywiera na piękną lalkę wpływ magiczny i pociąga ją ku sobie, a ona bezwiednie idzie za nim, jakby prowadzona jakąś potęgą zaświatową. „Umierającemu niczego się nie odmawia" twierdzi malarz i uwozi ją potajemnie na samotną wyspę, gdzie w chacie rybackiej zaczyna się melancholijne konanie biednego skazańca i powolne a tragiczne budzenie się duszy w kobiecie, poniewieranej, a kochającej na prawdę po raz pierwszy w życiu.

Na ostatnich kartach książki Norden umiera i zostawia Nunie cały, ogromny swój majątek. „Obudzona dusza" wie już, jak go użyć. Nuna wstępuje na drogę ekspiacyi i staje do czynu, „a niebo, słońce i morze mówią jej, że wytrwa".

Taka jest treść powieści ze szlachetną tendencyą podniesienia bolu do roli pierwszorzędnego czynnika w świadomem życiu duchowem człowieka.

Powieść pisana jest ze zwykłą u p. Walewskiej rutyną.

Poza tem brak jej wykończenia artystycznego z tego subtelnego wycieniowania szczegółów analizy psychologicznej, które są nieodłączną cechą prawdziwego dzieła sztuki. Natomiast jest w utworze p. Walewskiej dużo życia i zręcznej obserwacyi.

* * *

Jan Barszczewski **„Spuścizna po dziennikarzu"**. W Kastelu.

Zebrano w tej książce kilka nowel, trochę wspomnień z podróży i parę rozprawek o kwestyach moralnych, jako spuściznę po zmarłym dziennikarzu, Janie Barszczewskim. Książka otrzymała tytuł od zajmującej w niej pierwsze miejsce opowieści ze wspomnień weterana „W Kastelu", podającej trochę szczegółów z więziennego życia 225-iu oficerów polskich, internowanych na Kastelu tryesteńskim w roku 1833. Wspomnienia z podróży dotykają kilku rysami Madrytu i Lizbony, do której autor jeździł na kongres prasy.

* *

Leopold Staff. **„Sny o potędze"**.

Dusza młodzieńcza, wichrowata, wybuchowa, lubująca się w objawach siły, marząca o mocy — przemawia do nas z kartek tej książki. W dzisiejszej literaturze „modernistycznej", dla której niejako prawem jest nierównowaga ducha i w której wybujałość słowa prześciga niekiedy istotną wybujałość myśli i uczuć, p. Staff zajmie słusznie jedno z miejsc wybitniejszych. W pięknem jego obrazowaniu o odcieniu wizyonerskiem znać wpływ Słowackiego i Tetmajera, z filozofów położył na nim piętno Nietzsche, jedyny filozof, którego zna i znać chce nasza młodzież poetycka... A szkoda! — znajomość innych jeszcze pogłębiłaby treść tej poezyi.

Jako dobrą i pewną lokacyę

polecamy

4% Listy hipoteczne koronowe,
4½% Listy hipoteczne,
5% Listy hipoteczne premiowane,
4% Listy Tow. kred. ziemskiego,
4½% Listy Banku krajowego,
4% Listy Banku krajowego,
5% Obligacye komunalne Banku kraj.
4% Pożyczkę krajową,
4% gal. Obligacye propinacyjne,

Papiery te sprzedajemy i kupujemy po najdokładniejszym kursie dziennym. 31-52

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego,

TUTKI

ze specyalnej bibułki „ABADIE"

„PRIMUS"

są powszechnie uznane za najlepsze!

Wszędzie do nabycia.

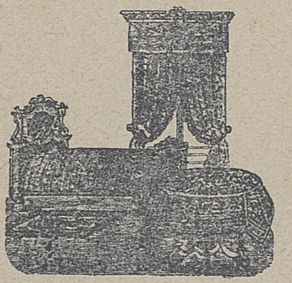
FABRYKA
LWÓW
MICKIEWICZA L. 2

38—52

Gotówka nie wymagana.

Ulgi w spłatach wedle umowy.

Cenniki na prowincyę na żądanie gratis i franco.



Wszelkie możliwe gatunki dywanów salonowych ściennych, pokojowych i kościelnych tudzież chodników, portyer, firanek, cerat linoleum, kap na stoły i łóżka, kołder, koców, der na konie i przedmiotów dekoracyjnych poleca znana i renomowana firma

Wiedeński magazyn i skład dywanów

„AU LOUVRE"

we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6.
(pasaż Hausmana)
Filia w Przemyślu ul. Mickiewicza l. 4.

Prawdziwe perskie i oryentalne dywany po zniżonych cenach. — Specyalny oddział resztek i towarów wysortowanych i wadliwych.

36—44

Główny skład rowerów angielskich
aparatów fotograficznych
i wszelkich przyborów.

Moim Szanownym P. T. odbiorcom udzielam wszelkie reperacye bicyklów **bezpłatnie**, zaliczam tylko dodany materyał. — Wypożycza się rowery.

Systematyczna szkoła jazdy na rowerze.

Dziękuję za dotychczasowe względy.

Z szacunkiem

Herman Gottlieb

Przemyśl, ul. Franciszkańska (pod wieżą).

KANTOR WYMIANY
BANKU GALICYJSKIEGO

dla handlu i przemysłu

ul. Jagiellońska l. 3. I. piętro

(dawny lokal Banku kredytowego)

zawiadamia P. T. Publiczność, że kupuje i sprzedaje wszelkie **papiery wartościowe i waluty zagraniczne** po możliwie najskrupulatniejszych kursach, uskutecznia pod takiemi samemi warunkami wszelkie **zlecenia giełdowe** zarówno na giełdzie wiedeńskiej, jak i giełdach zagranicznych, wydaje na wszystkie znaczniejsze miejscowości świata i zagraniczne miejsca kąpielowe bezpośrednie przekazy i listy kredytowe, wreszcie **wypłaca wszelkie kupony** możliwie bez potrącenia jakiejkolwiek prowizyi inkasowej. 31—52

Godziny urzędowe: od 9—12½ przedpołudniem i od 3—4½ popołudniu.

HOTEL POLSKI

w KRAKOWIE

przy ulicy Floryańskiej

poleca Szan. Publiczności pokoje, wzorowo i elegancko z komfortem urządzone.

Ceny niskie i dla każdego przyjeżdżającego bardzo przystępne.

Zarząd postarał się o wszelkie wygody, by każdy gość był zadowolony, za które poręcza się.

Z poważaniem

6—24 **Zarząd Hotelu Polskiego**

w KRAKOWIE.



Pierwsze składy
obuwia karlsbadzkiego

Adolfa Lonkera

ulica Hetmańska l. 16. (Bank zaliczkowy)

LWÓW

ulica Karola Ludwika l. 21. (Hotel Bristol).

Obuwie tylko ręcznej roboty.
dla pań, panów i dzieci. — Najnowsze oraz najgustowniejsze fasony i olbrzymie zapasy. Najwykwintniejsze wykończenie i staranna trwała robota. Ceny najniższe, fabryczne, wyciśnięte wraz z marką ochronną na podeszwie każdej pary.



Ferdynand Güttler

Magazyn towarów modnych

Lwów, ul. Halicka l. 20.

Towar doborowy	**Boa gazowa**	**Aplikacye**
Wielki wybór	**Szale jedwabne**	**Pasmanterye**
Ceny niskie	**Żaboty**	**Paski**
	Weloniki	**Gorsety.**

41—52

DOM BANKOWY i KANTOR WYMIANY

SOKAŁ i LILIEN

we Lwowie, ul. Hetmańska l. 12 (Hotel Langa)

kupuje i sprzedaje listy zastawne Towarzystwa kredytowego, gal. banku krajowego, jakoteż obligacye komunalne banku krajowego i obligacye gal. pożyczki krajowej i wszelkie renty, losy rządowe i prywatne, akcye kolejowe i obligacye pierwszeństwa, również wszelkie monety krajowe i zagraniczne pod najkorzystniejszemi warunkami.

Przyjmuje za mierną prowizyą wszelkie zlecenia wchodzące w zakres interesów bankowych. 42—52

Zlecenia z prowincyi wykonuje jak najrychlej.

Nowo przeniesiony magazyn
na plac Maryacki l. 10.
dawniej
Jakubowski & Jarra

obecnie

M. JAKUBOWSKI

poleca
swe wyroby ze srebra chińskiego i przybory kościelne. 12—12

Wydawca: K. Kołakowski. Odpowiedzialny redaktor: Wład. Strzelecki.

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.